Telefoniczna rozmowa

Cena była przystępna, dzielnica
Nie miała znaczenia. Właścicielka podała
Że mieszka w innym miejscu. Zostawało więc tylko
Żebym się przedstawił. „Pani — uprzedziłem —
Nie lubię jeździć niepotrzebnie. Jestem Afrykanin."
Milczenie. Czuło się w nim, że jest narzucone
Przez dobre wychowanie. Głos, gdy znów się rozległ
Był jakby w makijażu i jak wydmuchany
Z długiej, złoconej lufki. Szpetnie mnie zaskoczyła:
„JAK BARDZO JEST PAN CIEMNY?" Nie myliło mnie
ucho... „JASNY
CZY TEŻ BARDZO CIEMNY?" Przycisk B. Przycisk A.
Zaduch zjełczałych oddechów w telefonicznej budce.
Czerwona budka. Czerwona skrzynka pocztowa. Czerwony
piętrowy autobus
Miażdżący asfalt jezdni. To było prawdziwe! Czułem się
Zawstydzony niegrzecznym milczeniem, ale oniemiałość
Wydawała się także żądaniem wyjaśnień.
Położyła akcenty rozważnie: JEST PAN CIEMNY
CZY TEŻ ZUPEŁNIE JASNY?" Nagle mnie olśniło.
„Pani chce powiedzieć — jak czekolada zwykła albo mleczna?"
Potwierdziła to twardo i bezosobowo, jak lekarz przy
diagnozie.
Przestroiłem natychmiast długość własnej fali i znalazłem:
„Zachodnioafrykańska sepia." I jeszcze, po krótkim namyśle:
„Tak jest w moim paszporcie." W milczeniu, które nastąpiło,
Igrała obrazami tylko wyobraźnia. Aż rozległ się w słuchawce
Głos dźwięczący szczerością „CO TO SEPIA?" i jeszcze:
„NIE WIEM, CO TO TAKIEGO." „To coś jakby brunetka." „ZNACZY, ŻE CIEMNY, PRAWDA?" „Nie całkiem.
Raczej z twarzy, lecz powinna pani
Obejrzeć także resztę. Moje dłonie i stopy
Są jasne jak blondynka. Jedynie pośladki
Przez idiotyczne tarcie przy każdym siadaniu
Stały się kruczo czarne. Pani, jeszcze chwilę..."
W uszach jak grzmot mi zabrzmiał
Huk rzuconej słuchawki. „Pani — błagałem — czy jednak
Nie zechciałaby pani sprawdzić osobiście?"

Wanda Leopold

Żniwa nienawiści

Teraz więc słońce sunie ku śmierci w środku poranka
I śmiech na wargach wina więdnie
Zarodnie palm szczeciną najeżone
Pryskają bąble na oleju z ziarn

Palenisko ospowate jest po wypalaniu
Powietrze ciężkie od kadzideł
Bo skrzydła łonowilgotne z sanktuarium gniazd
Spadają niewypierzone w daninie ogniowi

Teraz płacimy za dawne zrzeczenia
Dziecko się ośmiela zapalić swoich ojców płomień
I w tej zwięzłości zbyt jasnych rozbłysków
Kurczy się dziedzictwo zwarzonej przyszłości

A takie było żniwo w czasie dojrzewania
Tak bezdźwięczne dźwięki gdyśmy tęsknili do westchnień
Bez żadnych płatków, za niemym nabrzmiewaniem pąków
W sierpniowych deszczach, za śpiewem w zielonej przestrzeni

Ludmiła Marjańska

Ludowa Spółdzielnia
Wydawnicza

antologia poezji afrykańskiej

Wanda Leopold
Zbigniew Stolarek

wprowadzenie
Zbigniew Stolarek

Aimé Césaire
(Martynika)

Z powrotu do rodzinnego kraju
(fragment poematu)

Odmawiam: nie będę moich wypuczeń poczytywał sobie
za moje rzeczywiste glorie.
I tylko śmiech mi z dawnych chłopięcych moich wyobrażeń.
Nie, my nie byliśmy nigdy amazonkami króla Dahomeju
ni książętami Ghany z ich ośmiu setkami wielbłądów, ni
doktorami z Timbuktu za króla Askii Wielkiego, ni archi-
tektami z Djenne, ani też Mahdimi, ni wojownikami. My
nie czujemy owego świerzbienia pod pachą, jakie czuli
tamci, którzy niegdyś nosili się z dzidą. I skoro poprzy-
siągłem, że ja z naszych dziejów nic nie będę taił (ja, który
ze wszystkiego podziwiam najmocniej skubiącą w popo-
łudnie własny cień swój owcę), przyznaję, że my od wiek
wieków jesteśmy pomywaczami talerzy i to poślednimi,
pucybutami bez szans na znaczenie, zaś w najlepszym
wypadku czarownikami w miarę sumiennymi, a jedynym
rekordem, który zdołaliśmy pobić, jest niezaprzeczalnie
nasz rekord w wytrzymałości na korbacz.
I wołał ten kraj przez całe stulecia, że jesteśmy tępogłowym
bydłem; że dlatego u wrót czarnuchostwa trzeba na bok
odkładać człowiecze uczucia; a jeszcze i to, że jesteśmy
chodzącym nawozem, którego szkaradzieństwo napędza
kruchość dla cukrowej trzciny i jedwabistość dla włókien
bawełny, i wypalano nam znaki czerwonym żelazem,
i spaliśmy w swoich ekskrementach, i wystawiano nas
na targowisku, gdzie wszakże łokieć angielskiego sukna
lub też irlandzkie solone mięsiwo kosztowały mniej niż
ktokolwiek z nas, i tak to sielsko, poczciwie żył sobie
ten kraj, a duch boży, jak się tu mówiło, był w bożych
zrządzeniach.

My, rzygowina handlarzy negrami,
My, osaczani w Kalabarze psami,
Że co? Uszy sobie zatykać?
My na śmierć pijani mgłami, chwiejbami, bryzami!
Za złe tego mi nie bierz, morski huraganie.

Słyszę, jak się dźwigają w ładowni złorzeczenia w dybach,
czkania konających, głośny plusk ciała ciśniętego w mo-

rze... jęk rodzącej kobiety... chrobot paznokci sięgających gardła... chichotanie bicza... rojność robactwa w pokładach znużenia...

Nas nigdy nic nie zdołało buntowniczo ponieść ku jakiejś desperackiej szlachetnej przygodzie.
Niechaj tak będzie. Niechaj tak będzie.
Moja narodowość nie z tych, które kancelarie państw umiały przewidzieć.
Ja pomiarom czaszki ciskam rękawicę. Homo sum itd.
A oni niech służą, zdradzają i giną.
Niechaj tak będzie. Niechaj tak będzie. Mają to wypisane w kształcie swoich miednic.

A ja, a ja,
Ja, który twardą opiewałem pięść,
Jak ja daleko zaszedłem w tchórzostwie, to trzeba tu wiedzieć.
Był wtedy wieczór, był tramwaj i naprzeciw mnie Murzyn w tramwaju.
Był to Murzyn rozrosły niczym orangutan, a siedział na swojej tramwajowej ławce, jakby się starał jak najbardziej zmniejszyć. Próbował na tej brudem obrośniętej ławce gdzieś od siebie odstawić swoje gigantyczne nogi i te swoje drygające łapska głodnego boksera. I wszystko jakby w nim chciało odskoczyć od niego, i odskakiwało: nos był niczym przylądek nadrywany od lądu przez burze i nawet jego murzyńskość wyblakła pod nieustannym działaniem białoskórniczych zabiegów. Nędza była tym białoskórnikiem. To był ten wielki napastliwy gacek, którego ślady pazurów na twarzy już mu się zbliźniły w skrościałe wysepki. Albo też owa Nędza to raczej nieznużony snycerz trudzący się nad obróbką kartusza z maszkarą, gdzie widać, jak zręczny i szydliwy paluch modelował guzowatość czoła, wiercił przez nos dwa równoległe i niepokój budzące tunele, powiększył brak umiaru w wywiniętej wardze i wygładził, wypolerował, wyślicznił karykaturalnym swym arcymistrzostwem najmniejsze w świecie ucho, maleńkie uszeczko.
To był Murzyn rozlazły, wszystko w nim było nie w takt i bez rytmu.

To był Murzyn, który oczami toczył swoje przekrwione znużenie.
To był Murzyn bezecny, któremu z paszczęki buciorów wyszczerzały się w śmiechu paluchy zalatujące nieszczególną wonią.
Nie da się zaprzeczyć: Nędza wychodziła z siebie, aby zrobić wszystko, jak umie najlepiej.
Wyżłobiła orbitę, podmalowując ją tuszem, w którym zropiałość zmieszana jest z kurzem.
Poobciągała wysłużoną skórą puste miejsce między skułami policzkowych kości i solidnymi zawiasami szczęk. I na tych policzkach posadziła łyskające ćwieczki kilkudniowego zarostu. I spłoszyła serce. I przygięła plecy.
I ta całość jak najudatniej prezentowała ohydnego negra, mamlącego negra, zahukanego negra, żałosnego negra, który złożył modlitewnie dłonie na sękatym kiju. Negra pogrzebionego w starą wystrzępioną kurtę. Negra tak komicznie brzydkiego, że siedzące za mną kobiety śmiały się do łez.
Był KOMICZNY I BRZYDKI,
BRZYDKI I KOMICZNY to jasne.
Ja też przybrałem porozumiewawczy i szeroki uśmiech.
Odnalazło mnie moje tchórzostwo!
Składam pokłon trzem wiekom, w których mam oparcie dla moich obywatelskich uprawnień i dla mojej nisko szacowanej krwi.
Jedną farsą moje bohaterstwo!
Na moją miarę jest to tutaj miasto.
I mój duch zalega, jak w brudzie i w błocie zalega to miasto.
To miasto — moją zabłoconą twarzą.
Żądam dla mojej twarzy głośnej pochwały splunięcia!...
Więc skorośmy tacy, to czy dla nas porywy junactwa, zwycięski przyklęk kolana, równina z tłusto lśniącymi skibami przyszłego?
Ho, wolę zapewnić, że ja tak jedynie majaczę wylewnie, z sercem w mózgu jakby z alkoholem w nogach.
Żałobny wianek moją gwiazdą teraz.

I to na rojeniu tym dawnym okrutności moje kanibalistyczne:

(Liczne kule w ustach gęsta ślina
codzienna podłość serce nam rozsadza
kontynenty rwą kruche wiązania przesmyków
pękają lądy wzdłuż złowróżbnych rozgałęzień wód
i wzgórze które od prawieków dławiło w sobie swój krzyk,
samo z kolei ćwiartuje milczenie
i ten lud znowu w swej skocznej dzielności
i nasze członki rozczłonkowywane daremnie w najwyszukańszych torturach
i życie jeszcze bardziej nie do powstrzymania wystrzela z tego gnojowiska — niespodziewane jak mangowe drzewko pośrodku rozkładu owoców chlebowca!)

To we mnie na rojeniu tym dawnym okrutności moje kanibalistyczne.

Za głupią próżnością się kryłem, los mnie przyzywał, chowałem się z tyłu, a oto człowiek na ziemi, jego krucha osłona w rozsypce,
jego najświętsze maksymy zdeptane, jego szlachetne tyrady puszczają powietrze każdą swoją raną.
Oto człowiek na ziemi,
jego duch jak nagi
i los triumfuje patrząc, jak ów duch, który losowi chciał się przeciwstawić, w praojcowskim rusza się bajorze.

Powiadam, że to właśnie dobrze.
Mój grzbiet obróci na swoje zwycięstwo odpadanie obumarłej tkanki.
Przyrodzoną mi uniżoność uczczę najodświętniej.
I złoży pokłon przed mym entuzjazmem srebrzyście szamerowane wygadanie hawańskich fagasów, liryczne małpiszoństwo w stręczeniu uroków poddaństwa.

Powiadam, że to właśnie dobrze.
Żyję dla tego, co w moim duchu jest najbardziej płaskie.
Żyję dla tego, co w moim ciele jest najbardziej ciemne!

Chłodny poranku upałów i praojcowskich lęków,
oto drżę teraz tym pospólnym drżeniem, którym śpiewa w koralowym krzewie nasza krew uległa.

I te we mnie kijanki wylęgłe z niebywałych moich antenatów!
Ci którzy nie wynaleźli prochu ni busoli
ci którzy nie zbadali przestworzy ani oceanów
lecz poznali najdalsze zakątki cierpienia
ci którzy w świat ruszali wyrwani razem z korzeniami
ci którzy przycupnęli na klęczkach
ci których oswajano do posług i chrzczono
ci którym wszczepiano bakcyle zwyrodnień
tamtamy pustych rąk
ogłuchłe tamtamy rozkrzyczanych ran
groteskowe tamtamy tabetycznej zdrady

Chłodny poranku upałów i praojcowskich lęków
za burtę moje tułacze bogactwa
za burtę moje niekłamane fałsze

Skąd jednakże ta duma, która mnie nagle olśniewa?

Zjaw się kolibrze
zjaw się jastrzębiu
zjaw się pawianie
zjaw się lotosie któryś wypiastował świat
zjaw się perłowa rewolto delfinów
która morską rozbijasz skorupę
zjaw się wyroju wysp
zjaw się rozpadzie umarłego ciała
w jakże żywym wapnie drapieżników
zjawcie się wodne jajniki w których już ruszają się łebki przyszłego
zjawcie się wilki żerujące w najskrytszych ostępach ciała ową godziną kiedy się schodzą w zajeździe eklipsy mój księżyc i twoje słońce

Jest pod zasobną tkanką mojego języczka dzicze legowisko
są pod szarym kamieniem tego dnia twoje oczy jawiące się ruchliwym skupiskiem biedronek
jest we wzroku bezładu ta jaskółka z mięty i z janowca która się rozpływa aby wciąż się odradzać w przypływie twojej świetlistości
(O moje słowo, ukój, ukołysz to dziecię, które dotąd nie wie, że mapę wiosny stale należy ponawiać!)

trawy wykołyszą dla bydła milutki okręt nadziei
wpodle alkoholowego ruchu przyboju
gwiazdy z oczka nigdy nie widzianego pierścienia
przetną piszczałki szklanych organów wieczoru
po czym obrzucą zasobną skrajność mojego zmęczenia
orchideami
cyniami
a ty gwiazdo zechciej ze swego świetlistego gruntu wywieść lemura
z niezgłębionej spermy mężczyzn kształt poprzedzany obawą
a który drgający brzuch niewiasty nosi jakoby minerał!

O przyjazne światło
o świeża krynico światła
ci którzy nie wynaleźli prochu i elektryczności
ci którzy nie zbadali przestworzy ani oceanów
ale bez których ziemia nie byłaby ziemią
wygarbieniem o ileż pełniejszym dobrodziejstw niż ziemia pustynna
ziemią po wielekroć
spichlerzem gdzie jest i gdzie dojrzewa co w ziemi najbardziej ziemskiego
Moja murzynność to nie kamień który głucho nastaje na wołanie dnia
moja murzynność to nie wody śniętej katarakta na martwym oku ziemi
moja murzynność to nie wieża ani też katedra
ona się wdziera w czerwone mięso ziemi
ona się wdziera w parzące mięso nieba
wybija dziurę w osadzie zgnębienia swojej prawej cierpliwości

Wiwat królewski Baobab
wiwat ci którzy nigdy nic nie wynaleźli
którzy nigdy nic nie zbadali
którzy nigdy nic nie ujarzmili
ale się zawierzają — pojmani — istocie wszechrzeczy
trwają w niewiedzy wobec powierzchni lecz są pojmani przez sam ruch wszechrzeczy
nie dbają ażeby ujarzmiać lecz biorą udział w grze świata

zaprawdę pierworodnymi są synami świata
otwarci każdym swoim porem na wszystkie oddechy świata
są braterskim tchnieniem wszystkich oddechów świata
nieskażonym łożyskiem wszystkich wód świata
iskrą świętego ognia świata
ciałem z ciała świata które pulsuje pulsem świata!
Chłodny poranku praojcowskich cnót!

Krew! Krew! samcze serce słońca obraca wszystką naszą krew,
którzy znamy lśniącą od oliwy kobiecość miesiąca,
pojednane zachwyty dla gazeli i gwiazdy,
którzy będziemy żyć później w kiełkowaniu trawy!
Wiwat doskonałość obrotu świata i ścisła harmonia!

Słuchajcie świata białych
jak jest potwornie znużony swoim ogromnym wysiłkiem
jak pod nieustępliwością gwiazd trzeszczy w swoich wiązaniach
jak jego toporność z niebieskawej stali przeszywa ciało mistyczne
jak jego zdradzieckie zwycięstwa grają mu larum na klęski
jak się potyka żałośnie w górnolotnych alibi

Zmiłowania dla naszych wszystkowiedzących naiwnych zwycięzców!

Wiwat boleść której łzy na powrót przywrócone ciału
wiwat ci którzy niczego nigdy nie zbadali
wiwat ci którzy nigdy nic nie ujarzmili
wiwat radość
wiwat miłość
wiwat boleść której łzy na powrót przywrócone ciału

I oto pod koniec takiego poranka moja męska modlitwa
abym nie słyszał ni śmiechów ni krzyków patrząc na to miasto
któremu proroczo zapowiadam piękno
daj mi dziką wiarę czarownika
daj moim dłoniom moc modelowania
daj mojej duszy hart klingi

ja się nie uchylę. Czołem burzy uczyń moje czoło
ale nie czyń mnie — moje serce — jakimkolwiek ojcem
ani jakimkolwiek bratem
ani jakimkolwiek synem lecz ojcem lecz bratem lecz synem —
ani jakimkolwiek mężem lecz kochankiem tego jedynego ludu

uczyń mnie niedostępnym próżności ale powolnym jego
geniuszowi
jako pięść jest przedłużeniem ręki!
Uczyń mnie skarbnikiem jego krwi
uczyń mnie deponentem jego niezmazanych krzywd
uczyń mnie człowiekiem który kładzie kres
uczyń mnie człowiekiem który rozpoczyna
uczyń mnie człowiekiem który zbiera plony
ale i uczyń człowiekiem który sieje ziarno

uczyń mnie wykonawcą owych wielkich czynów
oto i pora oręż przypasać tak jak przystoi dzielnemu

Ale czyniąc tak — moje serce — zachowaj mnie od nienawiści
nie czyń mnie człowiekiem który nienawidzi a do którego
ja czuję dlatego nienawiść
uczyń abym się mógł zawrzeć w tej rasie jedynej
bo ci przecież wiadomo o mojej miłości jaka to miłość
tyrańska
i wiadomo że nie z nienawiści do odmiennych ras
nakazałem sobie stać się sadownikiem tej rasy jedynej
gdyż to czego chcę
to ją ponaglić ażeby nareszcie
osiągnęła wolność miała wolność
wytwarzać ze swego zamkniętego wnętrza
dla powszednich głodów
i powszednich pragnień
soczystość owoców

Zbigniew Stolarek

Aimé Césaire
(Martynika)

Nowy rok

Ze swoich udręk ludzie wykroili kwiat
i zatknęli na wyżynach twarzy
głód im rozpina baldachim
rozpływa się obraz w ich ostatniej łzie
przyszło im wypić aż do dzikiej grozy
pianą skołysane monstra
To w tamten czas
doszło
do niezapomnianej
metamorfozy
co nieco marzenia wywierzgały kopytami konie
wielkie chmury pożaru w grzyb się wyklębiły
na wszystkich placach publicznych
zapanowała cudowna zaraza
kręciły łbem reflektorów nawet najmniejsze uliczne latarnie

co do przyszłego to w ogrodach syczał widliszkowy
anophel rozprażona para

To w tamten czas
słowo ulewa
słowo gleba i sprzęt
słowo brzask
i słowo wióry
weszły po raz pierwszy w zmowę

Zbigniew Stolarek

Léopold Sédar Senghor
(Senegal)

Murzyńska maska

Dla Pabla Picassa

Ona śpi i spoczywa na piaskach bez zmazy.
Śpi Kumba Tam. Zielona palma osłania gorączkę jej włosów
i zbrązawia wypukłość jej czoła.
Zamknięte powieki — podwojony kielich, źródła pod pieczęcią.
Ten piękny półksiężyc, ta warga tylko cokolwiek ciemniejsza
i cięższa — gdzież tu kobiety sprzyjającej uśmiech?
Patena policzków i linia podbródka śpiewają nieme przymierze.
Masko, która jesteś bez oczu, bez tkanki obliczem zamkniętym dla przemijalnego,
Głowo z brązu, głowo doskonała, jej czasu patyno,
Nie zbrukają ciebie ni szminka, ni róż, ni zmarszczki, ni
ślady łez ani pocałunków,
O, twarzy taka, jaką Bóg cię stworzył, gdy nawet pamięć
wieków jeszcze nie nastała,
Twarzy z zarania świata, nie otwieraj się jakby przytulna
kotlina, aby mojego ciała wywołać wzruszenie.
O, Piękności, wielbię cię moim jednostrunnym okiem.

Zbigniew Stolarek

Totem

W najserdeczniejszej tajni moich żył muszę go ukrywać,
Mojego protoplastę, któremu skórą jest burza znaczona
błyskawicami i gromem,
Tego orędującego mi zwierza muszę tak ukrywać,
Inaczej zerwałbym tamy skandali.
On jest krwią moją wierną, która także wymaga wierności
Chroniąc mą nagą dumę przede mną i jeszcze
Przed wyniosłością ras, które są szczęśliwe...

Zbigniew Stolarek